

Kiedy w połowie maja pewna businesswoman zapytała mnie: "Czy znasz jakiegoś bogatego sponsora, który odzłataje pięćdziesiąt milionów na nowe przedstawienie Jandy" - pomyślałem, że świat artystyczny w Polsce chyba zwirował. I że warszawski Teatr Powszechny będzie musiał zmienić harmonogram prób, albowiem to, co Janda planuje, skazane jest na niepowodzenie. No, bo teatr bez pieniędzy? To niemożliwe. Jakież więc było moje zdumienie, kiedy już 3 lipca, w dzień po premierze, byłem świadkiem, jak zwyczajna, codzienna publiczność, tłumnie wypełniająca teatr na Pradze, zmusiła aktorów do ustawicznych bisów, ukłonów i wielokrotnego podnoszenia kurtyny. Był przysłowiowy frenet braw, była standing ovation, co najdziwniejsze - publiczność była bardzo, bardzo młoda. To zdumiewające, gdyż widowisko miało swą prapremierę ponad 23 lata temu!

A gdzie jest siódme morze, Wołaniem wołam cię i Gdzie nie ma nas.

Nim Janosik stał się bohaterem śpiewogry "Na szkle malowane" (pełny tytuł: "Janosik, czyli na szkle malowane") - Gaertner skomponowała mszę beatową nazwaną "Pan przyjacielom moim" której legendarna premiera odbyła się w 1969 w Podkowie Leśnej,

kawałku, a owi czescy aktorzy co dzień śpiewali całe przedstawienie od początku do końca i efekty osiągnęli niemal takie same, jak nasi piosenkarze na płycie".

Tę płytę nagrała z inicjatywy kompozytorki cała ówczesna czołówka polskiego beatu i rocka, m.in. Maryla Rodowicz (Kolibaj się kolibaj), Halina Frąckowiak (Na sianie), Czesław Niemien (Lipowa łyżka), 2 Plus 1 (Nie zmożła go kula) i Skaldowie (Kochali my, kochali).

Kolejną dużą formą zdolnej i pracowitej kompozytorki był w 1973 musical dla dzieci "Rum-

Do stylizowanych tekstów kilku autorów, Katarzyna Gaertner tym razem "dopasowała" urzekającą swym pięknem muzykę, wykorzystującą folklor Górnego Śląska.

W tym czasie kompozytorka osiadła na Kaszubach, w "najcudowniejszym zakątku Polski" - w Somnachs. Wciąż trzymała rękę na pulsie mody muzycznej, za pan brat z rockmanami (w 1985 kaseta "Polka-idolka"). Kiedy jednak zwalczające się ugrupowania polityczne zaczęły doczeplać jej muzyce (i jej samej) fałszywe etykiety - że "lizusowsko-kościelna" (beton partyjny o mszy beatowej)

"NA SZKLE MALOWANE" - ZNÓW OKLASKIWANE

Do Teatru Powszechnego w Warszawie ścignęły tę publiczność trzy niepospolicie utalentowane artystki. Chciałoby się westchnąć "Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle" - ale to nieprawda: Diabeł (Dorota Stalińska) był rewelacyjny i potrafił dosłownie wszystko; Anioł (Krystyna Janda) pokazał, że zna się dobrze również na reżyserii. Obsadzona w roli Krytyka, więc siedząca na widowni Katarzyna Gaertner powiedziała potem: "Gdyby z każdego przedstawienia wybrać coś interesującego i zmontować nowy spektakl - byłoby to na pewno przedstawienie idealne. Najbardziej przywiązana jestem do wrocławskiej prapremiery i... chyba do obu przedstawień warszawskich".

A więc triumfalny powrót na scenę przedstawienia obrosłego legendą, bijącego ongiś rekordy powodzenia (w Warszawie grano je bodaj 600 razy!) "towaru" eksportowanego z sukcesem i zyskiem. Słowem: remake. Artystyczne deja vu. Ewement.

Całą historię trzeba rozpocząć od przypomnienia, kim jest kompozytorka, aranżerka i pianistka Katarzyna Gaertner - obecnie rozrywkowa, dawniej również jazzo-

wa. Córka zdolnego multiinstrumentalisty Kazimierza (który jeszcze przed wojną prowadził w Krakowie zespół Jazz Halama), dwukrotnie - bez powodzenia - zdawała na Wydział Kompozycji Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. A przecież w 1975 otrzymała nagrodę II stopnia ministra kultury i sztuki właśnie "za twórczość kompozytorską, a zwłaszcza za utwory muzyczne inspirowane polskim folklorem". Przebojowej Kate Gaertner nie folklor jednak był w głowie, lecz jazz: jako pianistka grywała na "hybrydowych" jamach w zespołach Krotochwila, Matuszkiewicz i Zabieglifskiego. Potem życie chciało jednak inaczej, więc "fenomenem polskiego jazzu" (cytat z ówczesnej prasy!) zatrudnił się zarobkowo w zespole instrumentalnym Klipsy, towarzyszącym... Mieczysławowi Foggowi.

Przez kolejnych 13 lat arcyzdolna kompozytorka zbierała nagrody (przeważnie w Opolu i Sopocie) za swoje przeboje, których w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stworzyła dziesiątki: Tańczące Eurydyki i Zakwitną różę, Odmieńca i Hej, dzień się budził, Z tobą w górach i Powołanie, Rozalę i Malgośkę, Diabeł i raj

w wykonaniu Czerwono-Czarnych.

Górska śpiewogra była pierwszym dziełem kompozytorki stworzonym razem z poetą Ernestem Bryllem (który miał już za sobą wspólną z Andrzejem Zielińskim śpiewogrę "Po górach, po chmurach"): rzecz powstawała powoli, pisana bardzo starannie, ale gdy wreszcie dojrzała do publicznej prezentacji (prapremiera 17 marca 1970 w Operetce Dolnośląskiej we Wrocławiu) - okazała się rewelacją.

Wkrótce śpiewogra "ruszyła w Polskę". Za granicą grano ją w Czechach i Słowacji (od 1972, aż pięć różnych wystawień), w Niemczech i na Litwie - wszędzie z ogromnym powodzeniem. "Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie - zwierzała się kompozytorka - kiedy fragmenty tej śpiewogry posłyszałam w Brnie w wykonaniu aktorów, którzy na scenie, bez mikrofonów, wzmacniaczy i całej tej techniki, jaką dysponują współcześni piosenkarze, zaśpiewali tak właśnie jak na płycie. Było to fenomenalne. Nie spodziewałam się, że w ogóle podobne efekty można osiągnąć na scenie. Trzeba przecież pamiętać, że podczas realizacji płyty nagrywa się ją po



"Na szkle malowane" A.D. 1993: Krystyna Janda wraz z zespołem Teatru Powszechnego w Warszawie. Fot. CAF

cajs" (według Vaclava Ctvrtka), wystawiony na dziesięciolecie współpracy Gaertner z teatrem (debiutowała opracowując muzycznie "Oskarżonych" Agnieszki Osieckiej): jak zwykle, z sukcesem - ponad 300 spektakli w stołecznym Teatrze Polskim, sześć premier za granicą. Potem była muzyka do Szekspirowskiego "Wieczoru trzech króli", musical baśniowy "Krasnoludki, krasnoludki..." (1979, wspólnie z Tadeuszem Kijonką), Schillerowski musical "Rok polski" z Ernestem Bryllem. Były też dwa dzieła skonstruowane według metody sprawdzonej przy "Szkle" (choć jakże od niego odmienne): najpierw "ogranie" pojedynczych piosenek na koncertach i w radiu, potem teatr i duża scena, wreszcie płyta. Te dzieła to oratorium "Zagrajcie nam dzisiaj, wszystkie srebrne dzwony" i musical "Pożłaczany warkocz".

"Do oratorium - wspomina kompozytorka - przygotowywałam się bardzo długo. Szukałam pieśni powstałych, ułańskich, partyzanckich, wojskowych z różnych okresów i stosownej literatury. Chciałam uchwycić istotę tradycji, by czuło się ją we współczesnej muzyce, nie różnicując, czy są to nuty góralskie, kaszubskie czy spod Łowicza. Chodziło mi o to, żeby było typowo polskie". I było. Ba! jest to nadal dzieło na wskroś polskie, głęboko tradycyjne, tyle że przez historię (czy raczej historię tzw. ładu) przysypane pyłem - zapomnienia, uznane bowiem za PRL-wojskowe i PZPR-owsko-komunistyczne, nie zaś oratorium patriotyczne, jakim jest w rzeczywistości. Dzieło bogate w przeboje. Dzieło piękne. Pisano po jego premierze w 1975: "Nie ulega wątpliwości, że Katarzyna Gaertner jest jedyną kompozytorką, która mogła uzupełnić poezję Ernesta Brylla swoją muzyką. Jej zainteresowania, intuicja twórcza, obszar wrażliwości, były głęboko osadzone w ludowej tradycji muzycznej, w folklorze polskim, który dla kompozytorki stał się niewyczerpanym źródłem inspiracji twórczej".

Po wielomiesięcznej ciszy, obiecującej zarówno "burzę" artystyczną, jak i musicalowe "niedzielnianie się", Festiwal Opoleski wystrzelił w 1980 fajerwerk barw, pięknych melodii i wspaniałych wykonawców "Pożłaczanego warkocza" - raczej śpiewnika śląskich pieśni, które nazwałbym silesian country, niż fabularyzowanego widowiska muzycznego (do którego zresztą nigdy nie pretendował).

albo że "koniunkturalnie wojskowa" (Solidarność o oratorium patriotycznym) - kompozytorka wyniosła się z "warszawki" i "mondu artystycznego": niedaleko Końskich, w Kieleckiem, założyła teatr dla dzieci, nazwała go Diabełski Młyn i... i niestety, stała się ofiarą dzisiejszych czasów: bezwzględniego kapitalizmu, bezdusznego merkantylizmu. Owszem, Gaertner wciąż komponuje, ale tego rodzaju twórczość wymaga dziś mecenasa, menedżera, agenta muzycznego.

Przed laty, jeszcze w chwale i glori, twórcy "Na szkle malowanego" cieszyli się wspólnym sukcesem.

Bryll wyznał: "To moja próba zabawienia się w tworzenie śpiewogry. Pragnąłem uciec w krainę zabawy, zaproponować widzom kilkudziesięciminutowe wędrowanie po bajkowym i legendowym kraju".

Gaertner marzyła: "Słowacki teatr wystawił "Na szkle malowane", podczas gościnnych występów w Szwecji, gdzie tym spektaklem wygrał jeden z festiwali. Nie wykluczone, że "Na szkle" doczeka się ekranizacji - producenci z RFN chcą zrealizować dwugodzinny film kinowy, w obsadzie międzynarodowej. Zdjęcia kręcone byłyby oczywiście w naszych Tatrach".

Jest rok 1993. Nie ma filmu. Nie ma zagranicznych wystawień. Są za to chwytliwe przeboje, są "na szkle malowani" Anioł, Diabeł i Janosik. No i najważniejsze: jest publiczność, która - nic zapewne nie wiedząc o tysiącach wcześniejszych spektaklach tej śpiewogry - oklaskuje przedstawienie z całym sercem, kołyszże się w rytm muzyki, nuci przyśpiewki i songi, zauroczona wciąż piękną, niezmiennie atrakcyjną muzyką.

Gdyby to zobaczył bonza amerykańskiego showbusinessu, natychmiast wezwałby swego księgowego i powiedział: "Panie Rubinstein, dzwoń pan do tej Gaertner do Polski, rezerwuj pan studio, ściągaj samych najlepszych, wymyślaj pan reklamę - wspólnie zrobimy wielki interes". Skoro jednak z Broadwayu, czy z Los Angeles nie można dodzwonić się do Kwasu koło Końskich, więc może łatwiej będzie napisać do nowego ministra kultury i sztuki i przypomnieć mu jedno: ta ma ta publiczność w Teatrze Polskim w Warszawie.

Na pewno ją pamięta!
DARIUSZ MICHALSKI